

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 4 KWIETNIA 1931 ROKU

NR. 14

ANDRZEJ STRUG

14) OSTATNI FILM EVY EVARD

— ...Spodziewałem się tu znaleźć ludzi sztuki i rewolucjonistów z wielką ideą, a widzę tylko pijaków i rozwyrżone pannie... Tańcz, burżuazyjna hołoto, dopóki nie runie na Berlin czerwona armja proletarjacka, która lada dzień ruszy z frontu... Śmiej się, panie pruski oficerze, dopóki nosisz jeszcze na ramionach cesarskie epolety; niedługo czekać, zedrze ci je ręka własnego żołnierza, a ciebie razem z twoim monoklem postawią pod murem... A wy żołnierze? Czyż nie dosyć...

— Dosyć! Dosyć! Złaż pan!

— Nie nudź nas, głupi bolszewiku!

— Napij się.

— ...Policzone są dni wojny, zbuntują się Francuzi, Anglicy...

— Na to zgoda! Brawo mówca!

— Idź naprzód z nimi pogadać, a potem do nas z kazaniem!

— ...Powiedział Lenin...

— Jadąc przez Niemcy w zapieczętowanym wagonie!...

— Ładny numer ten wasz Lenin...

— ...Jesteście za głupi, żeby go zrozumieć. Waszego wielkiego Liebkechta dręczycie w wojskowym więzieniu...

— Zabierzcie go do siebie, oddajemy za darmo całą jego wielkość...

— Halt! Ani słowa o Liebkechcie!

— Cześć mu!

— Niech żyje Liebkecht!...

— Precz z Socjaldemokracją! Niech żyją Niezależni!

— Zdrowie Liebkechta, uczciwego Niemca! Precz z Wilhelmem!

— Nalewać!

— Cicho tam, ja mam głos! Nowe Niemcy rodzą się we krwi i w męce! Nadejdzie dzień...

— Niech żyje strajk generalny!

— Tak ci się zachciało bolszewików?

— U nas, w Europie nie będzie tego nigdy, u nas...

— Oho...

— Niech żyją nasi marynarze, uwięzieni w Kiel, w Wilhelmshaven, w Emden...

— Precz z buntownikami! Kiedy ojczyzna...

— Jaka ojczyzna? Czyja? Ludendorffa?

— Ostrożnie! Czy myślisz, że tu niema szpicłów Sittenfelda?

Na ten niespodziewany okrzyk Evie uczyniło się nieswojo. Może to o niej? Zamierzała się wycofać cichaczem, tembardziej, że oficer, przydzielony do

niej dla obrony przed pijanymi, sam zaczął poczynać sobie z nią zbyt obcesowo. Świetny szampański koniak i jego bezmierna obfitość czyniły swoje. Nie było mowy o żadnej wymianie zdań o sztuce ani o produkcjach artystycznych. Z Mimi dawno już objędzono raki i banany, a na podjum grupowały się do żywych obrazów trzy nagie koleżanki. Uwijało się między nimi aż czterech wojskowych reżyserów, przygotowując wśród bezwstydných zabiegów zapowiedziany obraz „Pokój świata”; po kątach krępowano się coraz mniej. Eva miała tego dosyć — w Paryżu, nawet w Wiedniu wyglądałoby to inaczej. Niemcy nie znają umiaru i subtelności w tego rodzaju sprawach. Wstawała z krzesła, gdy asystujący jej żołnierz, który podział się gdzieś, przyprowadził jej zapowiedzianego bolszewika.

— Pani Evard, oto on, pani pozwoli — graf Uchmatow, dyplomata rosyjski, to jest właściwie bolszewicki.

— U nas niema grafów, ani dyplomatów, jestem poprostu Uchmatow, szeregowy robotnik w służbie Rewolucji, odkomenderowany przez „Komintern” na robotę niemiecką. Czego pani sobie odemnie życzy?

— — — — —

Van Trothen gonił już resztkami nerwów. Czepiały go się przywidzenia i strachy. Z dnia na dzień potęgowała się w nim jakaś chorobliwa podejrzliwość, która w jego zawodzie hamowała wszelką inicjatywę. Musiał ufać bezwzględnie przynajmniej niektórym ze swoich ludzi, a zdarzały się momenty, kiedy nie wierzył zgoła nikomu. Chwilami podejrzewał nawet Evę. Wydawało mu się, że go śledzą na ulicy, po kawiarniach, w teatrze, w Mundus-Filmie, nawet w domu.

Zdarzały się koszmarnie godziny, gdy roje szpicłów osaczały go i dręczyły bez chwili wytchnienia, ganiając po całym mieście. Wymykał się, wskakiwał do pierwszego lepszego tramwaju, ale tam już siedzieli nowi. Kluczył, przekradał się, wpadał chyłkiem do kawiarni w dalekiej dzielnicy i znowu zastawał tam zaczajonych na niego innych wywiadowców, ludzi starych, młodych, najrozmaitszych, kobiety, nawet dzieci — przy stolikach siedziały całe rodziny szpicłowskie... Wiedział, że tak monstrualna inwigilacja jest niemożliwością i przywidzeniem, ale za każdym razem musiał się dobrze zmordować, zanim się opamiętał.

Już nad sobą nie panował. W tych czasach drżał

ze strachu nawet przed swoim starym partnerem szachowym generałem Sittenfeldem i radby schować się przed nim w myślą nore, a jednak kusiło go, żeby mu się następcza i leżę mu w oczy. W momentach najgorszego strachu telefonował do niego, napraszając się na partyjkę szachów, żeby przewąchać coś o sobie i wyczuć swój los, a zarazem sprowokować strasznego dręczyciela, żeby spełniło się nareszcie to, co i tak ma być.

Generał odpowiadał uprzejmie, gadał po przyjacielsku i jowialnie i zawsze wymawiał się brakiem czasu.

— Wszystko wie i zwleka, żeby mnie męczyć — myślał van Trothen.

Oczywiście miał wszystko przygotowane do ucieczki, w tajnej fałszowni wystawiono mu trzy najpoprawniej formalne paszporty na trzy granice z fotografiami w trzech charakterystykach. Miał stale przy sobie grubą wiązkę banknotów, całą płynną kasę centrali, własne kapitały przeniósł na banki szwajcarskie i holenderskie. Zaopatrzył swoją miłą Klarchen, do Mundus-Filmu dopuścił wspólnika i wkład jego natychmiast przelał zagranicę. Sprawy centrali, wszystkie stosunki, agentury, adresy, korespondencję i szyfry przekazał swemu zastępcy, zapamiętałemu gorliwcowi i manjakowi wywiadu, specjaliście od transportów wojsk i obiegu sił zbrojnych, Niemcowi szwajcarskiemu, którego zajęciem zawodowym było zaopatrzenie w zapasy żywności, w sprzęt i w kredyty wszystkich bufetów kolejowych na magistrali Berlin — Kolonia. Pod tym legalnym pozorem przeprowadzał wszystkie afery pod naczelnym kierownictwem zatajonego i niedostępnego dla reszty agentów wielkiego szefa. Pobocznie uprawiał na grubą skalę szmugiel żywnościowy.

Abeglen sam doradzał szefowi zejść już z pola walki i odpocząć po trudach, nie dlatego żeby go uważał za „zaszypanego”, przeciwnie, ani generał, ani nikt inny nie podejrzewał go w najmniejszym stopniu. No, si on niebezpieczeństwo w sobie samym, żyje w urojeniach, nikomu nie ufa, na każdym kroku popełnia drobne niezręczności, ogarnęła go manja prześladowcza. W tym stanie nerwów, choć mu narazie nic nie grozi, wyda się sam, wsypie się na pierwszym lepszym głupstwie. Ostrzegał go zwłaszcza przed dalszą żądrością z generałem Sittenfeldem, dawniej było to bardzo wskazane, ale już odegrało swoją rolę w ciekawych dziejach wywiadu francuskiego na Niemcy.

— Teraz każde zetknięcie z nim jest dla kochanego szefa bardzo groźne, kochany szef nie ustrzeże się już teraz skłonności bardzo znanej w kryminalistyce, a mianowicie pewnych niebezpiecznych eksperymentów, aby odgadnąć, czy wróg już coś przypuszcza, czy też nic jeszcze nie wie. Przy tak starganych nerwach kochany szef może się potknąć fatalnie.

— Więc pan uważa, że moja rola się skończyła?

— Rola — bynajmniej, to nerwy kochanego szefa się skończyły.

— Dobrze, jadę...

— Ale kochany szef wyjedzie nie zwlekając i oczywiście najzupełniej legalnie, jako powszechnie znany van Trothen, właściciel i dyrektor „Mundus-Filmu”. Fałszywe papiery spalimy — to był bardzo nierozsądny pomysł.

— Dobrze, wyjadę, ale mam jeszcze na głowie tę głupią sprawę z Ludwigshafen...

— Niech kochany szef jedzie spokojnie, już ja sobie dam radę z doktorem Helmem. Proszę być pewnym, że instrukcja pańska będzie wykonana.

— Ta szelma raportowała, że niczem go nie mogła przekonać i już ją prowadził do policji! Obró-

ciła wszystko w żart i tem się uratowała. Niestycha-
ne! Obawiam się, czy on nie dostał bzika?

— Prostu przesadził w ostrożności, a zresztą ta przejęta po anglikach pani von Senden nie wygląda zbyt solidnie, jak na tak grubą misję. Trzeba było posłać kogo innego. Zresztą nie wróciła z pustymi rękami — przywiozła nam dość ważną informację o naszym kapitanie, mianowicie, że jest do szaleństwa rozkochany w pięknej córce profesora Wagera. Zupełnie niepotrzebna komplikacja... Cemu się, u diabła, nie zakochał w innej Niemce?

— Plotki...

— Całe miasto o tem gada, a ona jest tamtejsza. Zresztą zbiegiem okoliczności Greta dobrze znała naszego Helma, tylko, oczywiście, nie wiedziała, że jest Francuzem.

— Miała cyfrę, znaki i hasła — a ten się wszystkiego zaparł w żywe oczy. Złapała go na ulicy i zagadała wprost po francusku — ani drgnął. I tak wytrzymał do końca, musiała przejść na niemiecki, a gdy mu wyłożyła całą rzecz aż do końca, zaczął krzyczeć, ciskać się i przemocą ciągnął ją do komisariatu. Ha — ha — ta...

— Morowiec!

— Za morowy, jak na szpiega, przecie z takim w razie nagłej potrzeby niepodobna się porozumieć — czy ja mam osobiście jeździć do niego z każdym głupstwem?

— No, to całkiem nie było głupstwem — zresztą znać, że to oficer frontowy, nieokrzesany jeszcze, nie zna się na naszych subtelnościach, mogło mu się coś nie spodobać w pańskiej instrukcji. Wojskowi mają swoje poglądy kastowe i nieraz osobliwe, całkiem nieprzewidziany punkt honoru. Ja się z nim zobaczę w tych dniach, niech kochany szef jedzie w świat i odpocznie ze dwa miesiące — jeszcze dokonamy pięknych rzeczy.

— Dwa miesiące? Ależ za miesiąc Niemcy będą w Paryżu i nie będziemy już potrzebni.

— Kochany szef przesadza, mojem zdaniem, Niemcy nie będą nigdy w Paryżu, na zwycięstwo już ich nie stać, ale bronić się będą twardo i długo, wojna potrwa co najmniej jeszcze rok albo półtora, jeszcze się przydamy Francji i kochany szef i moja skromna osoba. Trzeba dobrze wypocząć.

Van Trothen był spakowany, codzień wyjeżdżał i codzień zostawał. Wahał się między Szwajcarią i Austrią, to znowu namyślał się nad Holandją. Rozigrane nerwy płodziły coraz to nowe majaki strachu i podejrzeń, lub wtrącały go w ciężkie zgębienie. Nie widział przed sobą przyszłości ani nawet jutra, jak ci, którzy przeczuwają bliską śmierć. Miał się za nieodwołalnie zgubionego; dają mu spokój, póki siedzi na oczach w Berlinie, niech się tylko ruszy, wezmą go na granicy. Na ten wypadek miał swoje cyanalki, ale niemal codzień zdarzały się chwile potężnej pokusy, by nie czekać i samemu rozstrzygnąć swój los. Nie rozumiał już dalszego istnienia. Co on będzie robił zagranicą?

Ogarniała go śmiertelna nuda. Pięćdziesiąt bez mała lat spędzonych na tej ziemi wydawały mu się zupełnie niepotrzebne, a z tego lata wojny były już tylko fantastycznym absurdem. Po co mu było uwickać się w ten chaos kłopotów, niebezpieczeństw, bezceństw, zbrodni? Choroba ciekawości, namiętność do intrygi, tajemny smak podłości, kult zdrady... Umiłował śmiertelny hazard i było mu wszystko jedno, z kim grał i o co. Gdyby go wojna zastała w Anglii, zdradzałby Anglię.

(D. c. n.).